

# Danuta Ulicka

---

## Zwrot archiwalny : jak ja go widzę

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (121-122),  
159-164

---

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Danuta ULICKA

### Zwrot archiwalny (jak *ja* go widzę)

„Szybkimi i pewnymi krokami zbliżamy się do takiego czasu, kiedy ludzi z wykształceniem klasycznym zaczną pokazywać na jarmarkach, niczym jakichś Azteków” – pisał w roku 1924 Boris Jarcho. Dla absolwenta filfaku (fakultetu filologicznego) „wykształcenie klasyczne” znaczyło tyle samo, co „filologiczne”. Filologia zaś miała być dyscypliną ścisłą, jak matematyka i przyrodoznawstwo, które Jarcho studiował równie starannie, co humanistykę. Skrajnie niechętny „filozofowaniu” (wiecznie polemizując z głównym wtedy w Rosji husserlianistą, Gustawem Szpetem), nieuprawnionym wnioskom i niejasnym terminom (wytykając ich metaforyczny status nawet z OPOJAZ-owcami), zawzięcie tropił pochopne uogólnienia i efektowne, ale słabo, w jego przekonaniu, uzasadnione teorie. A przy tym wszystkim pozostawał najgorętszym rzecznikiem semantyki. Ta dla niego stanowiła wszakże rezultat do bólu i do znużenia dokładnych ustaleń filologa, pochłoniętego kształtem językowym wypowiedzi, z którego wyłuskiwał formę znaczenia. Nie znajdował w kulturze niczego, co by nie przeszło przez język.

Jarcho i Szpet, podobnie jak Maksim Kenigsberg, Aleksandr Romm, Boris Gornung nie znajdują się na standardowej liście założycieli, członków i uczestników posiedzeń Moskiewskiego Koła Lingwistycznego. Próżno na niej szukać także Siergieja Bobrowa, Mikołaja Asiejewa, Osipa Mandelsztama i Borysa Pasternaka; jeden Majakowski figuruje wśród poetów zainteresowanych nową lingwistyką i nowym literaturoznawstwem (pewnie również dlatego, że mieszkał w tym samym domu na – o ironio – Łubiance 3, naprzeciw gmazyska KGB, gdzie w lokalu nr 10 zajmowanym przez Jakobsona odbywały się debaty). W ogóle o Kole Moskiewskim niewiele wiadomo, choć w każdym porządnym podręczniku do teorii literatury jest wymieniane jednym tchem z OPOJAZ-em jako początek

nowoczesnego literaturoznawstwa i całkiem obszernie charakteryzowane w rozdziałach o rosyjskim formalizmie. Materiału do charakterystyk dostarcza jednak zwykle koncepcja Jakobsona z lat jeśli nie 60., to w każdym razie już nie moskiewskich, lecz praskich a cały tzw. formalizm jest opisywany przede wszystkim na podstawie dokonani piotrogrodzkiego Obszczestwa Izuczenija Poieticzeskogo Języka.

Dlaczego tak się stało? W przypadku samego Koła Moskiewskiego o odpowiedź nietrudno. Znikło z pola widzenia, bo nie prowadziło intensywnej działalności edytorskiej, nie wydawało swoich *Sbornikow po teorii poieticzeskogo jazyka*. W przeciwieństwie do petersburżan moskwiczanie koncentrowali się raczej na posiedzeniach i dyskusjach niż na rozpowszechnianiu ich rezultatów (w latach 1918-1923 odbyło się 130 – tak! – takich na poły domowych seminariów). Ocalało na szczęście archiwum Koła. Ma ono zresztą znamienne i godną zachowania w pamięci historię. Jest dostępne od stosunkowo niedawna, w praktyce od połowy lat 90. Wprawdzie już w roku 1972 miał je przekazać Instytutowi Języka Rosyjskiego Akademii Nauk ostatni sekretarz Koła, Boris Gornung, rychło jednak zostało ukryte. Marietta Czudakowa, która dzięki informacjom Gornunga dotarła do zbioru, usłyszała od kierownika działu rękopisów Instytutu kuriozalne, tłumaczące się chyba tylko echami zimnej wojny i antysemityzmem ostrzeżenie: „Nie wolno robić odsyłaczy do tego archiwum. Przecież jeśli Jakobson się dowie, że jest u nas, to zechce zajrzeć. [...] My teraz specjalnie niczego nie publikujemy – bo kiedy oni co wydrukują, to my wykorzystamy materiały do polemiki”.

Można jednak podejrzewać, że nawet gdyby było wcześniej dostępne, to i tak nie cieszyłoby się wielkim zainteresowaniem. Nowoczesny teoretyk literatury nie żywił szacunku dla archiwów, jak w ogóle dla aktywności filologicznej i jej podstawowego gatunku – komentarza. Miał inne ambicje. Świadczą o tym kłopoty, trwałe do dziś, z nazwaniem naszej dyscypliny. Wśród propozycji nadania jej imienia własnego pojawiały się nazwy niespodziewane, jak Jakobsonowska „dialektologia poetycka” i, wbrew rozpowszechnionej opinii, nie Jakobsonowskiego autorstwa „gramatyka poezji” (po raz pierwszy użył jej Szpet w roku 1922 w *Estieticzeskich fragmentach*, podkreślając: „Poetyka w szerokim sensie to gramatyka języka poetyckiego i gramatyka myśli poetyckiej”); „poetycka lingwistyka” lub „lingwistyczna poetyka” – nie mógł się zdecydować Żyrmunski; „gramatyka idei” Winogradowa. Jak ognia unikano tylko zniesławianej „filologii”. Także polskie dyskusje o „filologii i filologizmie” z pierwszego i drugiego dziesięciolecia XX wieku nie pozostawiają wątpliwości – zdezawuowana działalność filologa awangardowemu badaczowi była nieprzystojna; pozostawiano ją w rękach polonisty od pana Zagłoby, historyka piśmiennictwa „pięknego” i „użytkowego”. W efekcie z pola widzenia znikło nie tylko Moskiewskie Koło Lingwistyczne. Przepadały, nie zawsze wyrokiem losu, same nie dość chronione, bo niedoceniane archiwa (Jurija Tynianowa, Warszawskiego Koła Polonistów). A obraz dziejów teorii nabierał coraz bardziej monstrualnego charakteru, kopiowany z autorytatywnych, nie wie-

dzień czemu uchodzących za kanoniczne (bo pierwsze?) ujęć. To, co się zachowało, najczęściej im przeczy.

Nie będę programować kolejnego zwrotu w literaturoznawstwie, którego nazwę podsunął mi Edward Balcerzan – zwrotu archiwalnego. Powiem tylko, że warunkiem jego sukcesu jest lektura cudem niekiedy ocalałych dokumentów nie tylko zwyczajnie krytyczna wobec ich zawartości i świadoma, że archiwa nie zapewniają wiedzy niezbitę („faktów”), pozostawiły bowiem to, co pozostawić z różnych względów zechciały, a i udostępniają to, co zechcą, niekiedy na mocy prywatnego widzimisię kustosa. Musi to być przede wszystkim lektura prześwietlająca dokument jako wypowiedź kulturową: powstała w określonej sytuacji i w jakimś celu, przez kogoś zapisana (a także przez kogoś odczytywana i komentowana). Ślady tych jej sytuacyjnych uwarunkowań zachowały się w ukształtowaniu językowym; poza nim nic innego nie jest nam dostępne. Dlatego, po ostatnie, musi to być lektura wrażliwa na słowo – styl przekazu, gatunek, w którego ramach buduje swoje znaczenie, na, wreszcie, indywidualny idiolekt jego twórcy. Dopiero takie, filologiczne czytanie zapewni niepozorowany (i na pewno niepozorny) zwrot archiwalny, nieodzowny w naszej wieloimiennej dyscyplinie, potocznie wciąż nazywanej teorią literatury.

Być może dzisiejszy teoretyk przestanie wtedy wartościować zdeponowane w pamięci historycznej koncepcje, mierząc je własnymi doraźnymi interesami. A współczesny lingwista, ufny w wyższość aktualnie panującego historyzmu i pragmatyzmu, nie będzie stawiał Jana Baudouina de Courtenay wyżej niż Ferdinanda de Saussure’a, dyskutując z lingwistą dawniejszym, który z kolei, zgodnie z aktualnymi sobie wiarami, wielce krytycznie oceniał twórcę szkoły kazańskiej, bo na pierwszy plan wysuwał proces historyczny i wieczną zmienność języka, zaniedbując „statykę” i przedkładając nad nią „dynamikę” (tak pierwotnie tłumaczono „synchronię” i „diachronię”).

Starczy jednak, że przestanie powtarzać komunały. Do nich należy rozpowszechniona opinia o „treści najistotniejszej” koncepcji de Saussure’a, którą wypełniać ma „rozróżnienie między językiem (*langue*) a mówieniem (*parole*)”, jak to krótko wyłożył w roku 1943 Hjelmslev. Nie wiem, w jakim języku czytał *Kurs...* (z polskiego przekładu to nie wynika), dostępny już wtedy po japońsku i niemiecku. Raczej nie znał tłumaczenia rosyjskiego (1931), a już na pewno jego pierwszej niepublikowanej i do dziś pozostającej w archiwum wersji z roku 1922, dokonanej przez Aleksandra Romma. Ta jednoznacznie wskazuje na najistotniejszą ideę wykładów genewskich: epistemologię punktów widzenia, a rolę kluczową przyznaje *langage*. Gdyby tłumaczenie Romma ukazało się w roku 1922, to może widmo de Saussure’a nie krążyłoby nad Europą i Stanami Zjednoczonymi. Nie trzeba byłoby w każdym razie polemik Bachtina z „formalizmem” o treść, formę i materiał (z 1924 roku) i Wołoszynowa (z roku 1929) z „językoznawstwem abstrakcyjnym” ani wyłomu, jakiego ich koncepcje dokonywały potem, z blisko półwiecznym opóźnieniem, w świadomości zachodnioeuropejskiej i amerykańskiej. Austinowska lingwistyka mowy nie doczekałaby się takiego rezonansu, jaki miała, a Jacques Der-

rida nie miałby po prostu z kim dyskutować w roku 1966. Od końca lat 60. nie trzeba by też proklamować kolejnych literaturoznawczych „zwołów”, z których każdy prowadził mniej lub bardziej otwartą polemikę z urojoną, a w każdym razie anachroniczną i szkolarską wizją *Kursu...*, już przecież dostępnego w krytycznych edycjach Rudolfa Englera i Tullio de Mauro, wzbogaconego nadto o wydane i skomentowane przez Roberta Godla notatki. Ale przede wszystkim gdyby tłumaczenie Romma stało się „faktem” drukowanym, a nie archiwalnym, mogłyby, wraz z innymi koncepcjami krystalizującymi się w toku dyskusji w Kole Moskiewskim, położyć fundamenty pod tak wtedy (i wciąż) pożądaną nową filologię – tę zorientowaną na semantykę historyczną i uprawianą zgodnie z regułami nowoczesnego językoznawstwa kulturową teorię literatury, którą dzisiaj nazywa się także niekiedy jej antropologią.

Nie dane jej było naoczas się wyłonić. Przeczuwający ją Roman Jakobson opuścił Moskwę, projektujący – Gustaw Szpet zginął w łagrze, a Romm, który podjął inspiracje obu i zdawał z nich sprawę przekładem *Kursu...*, zakończył działalność filologiczną, poświęcając się przekładom (do dziś wznawianym, jak *Pani Bovary*). Jeden bodaj Bachtin w kustanajsko-saranskiej samotni podejmował wysiłki jej zbudowania. Dziś jej zarys można odnaleźć już tylko w archiwach.

Szczyściem historia intelektualna to nie historia wydanych książek. Niekiedy ważniejszą w niej rolę odegrały książki możliwe – albo niedokończone, porzucone na etapie konspektu lub szkicu, albo w ogóle nienapisane, mówione i czasem tylko zrekonstruowane na podstawie zapisków słuchaczy, albo właśnie te do dziś tkwiące w archiwach. Podobnie jak owe mówione (Bachtina, Austina, samego de Saussure’a), które okazały się dla literaturoznawstwa XX wieku punktami zwrotnymi, tak i te archiwalne, znane nielicznym, stoją przed podobną okazją.

Pożytki z wskrzeszania historii nie są odległe od tych, jakie zakładają inne zwroty. „Historia nauki – powiada wytrawny znawca archiwów i ich wnikliwy komentator, Maksim Szapir – to najważniejszy komponent jej samoświadomości [...] szczególnie w przypadku nauk humanistycznych. W nich wszystko albo prawie wszystko jest sporne, i to nie tylko na poziomie fundamentalnych teorii, ale i na bezspornym, wydawałoby się, poziomie «bezpośrednio obserwowalnych» faktów”. Bo – wiedział o tym Ejchenbaum, a nie tylko nagminnie dziś cytowany Fleck – „Aby schwycić w ręce «fakty», trzeba umieć je znaleźć – faktów samych w sobie nie ma”. Także tych archiwalnych. Stwarza je dopiero filolog.

Najczęściej re-kreuje te „fakty” w towarzyszącym robocie edytorskiej gatunku komentarza. „Komentarz to jedna z najbardziej mobilnych i perspektywicznych form historycznej hermeneutyki: jej «zdolności rozstrzygające» przewyższają możliwości wszelkich ujęć monograficznych. Jakież inny gatunek pozwala organicznie zespolić rozbudowany i ścisły aparat naukowy, dociekania bibliograficzne, tekstologiczne i biograficzne, naukowe badania historyczne i własne naukowe poszukiwania? Autentyczny komentarz to synteza historii nauki i samej nauki”, powtórzyć raz jeszcze za Szapirem.

Siła tego gatunku jest niedoceniana, jak i jego historyczna rola. A od niego przecież zaczęła się i nasza nauka, i jej przedmiot – literatura. Z komentarza pierwszego aktora wprowadzonego na scenę przez Tespisa do archaicznego, bezsłownego jeszcze, gestykularno-tanecznego rytuału, potem zaś aktora dialogującego z chórem, powstał dramat grecki. Nie inaczej – dramat wschodni. Godna zapamiętania jest ta tożsamość funkcji aktora i komentatora, dziś zachowana chyba tylko w przypadku komentatora sportowego, godna zapamiętania zważywszy zwłaszcza na to, że greckie słowo „aktor” można wymawiać jak „hipokryta”. Czyli ktoś, kto skutecznie udaje, że rekonstruuje „fakty”, podczas gdy je re-kreuje.

Mówić o sile komentarza w dobie obwieszczeń śmierci komentarza zakrawa na prowokację. Daleko mi do niej. Nie tylko w moim przekonaniu żyjemy w epoce nie zaniku sztuki komentowania, ale właśnie jej niebywałego rozkwitu, bezprecedensowego, porównywalnego bodaj tylko z okresem hellenizmu. Sami zresztą rzecznicy śmierci tej sztuki dają dowody jej żywotności. Ich prace to przecież nic innego niż serie konsekwentnych komentarzy (komentarzy swoistych, filologiczno-hermeneutycznych, wpisywanych w historię idei). Skąd więc radosne przekonanie o śmierci gatunku?

Rzecz w tym, że w nekrologach komentarzowi przypisany został nader wąski (i historycznie nieusprawiedliwiony) zakres. W nekrologach jest on *tacite* pojmowany jako metatekst, zapisany w języku innym niż tekst komentowany, języku przy tym odstającym – ze względu na status i uroszczenia – od tekstu prymarnego. Mówiąc krótko, komentarz został zaliczony do zniesławionej nauki, a komentowany tekst – do literatury (filozofii, sztuki). Jeśli wszakże wejrzeć w działalność poznawczą i pisarską francuskich poststrukturalistów i wielkiej czwórki dekonstrukcjonistów, to widać od razu, że niechlubny komentarz po prostu przemieścił się u nich z tekstu pobocznego do głównego. Zrzucił skórę przypisu, ekskursu, wstępu, posłowania, kalendarium, tablicy synoptycznej, rzeczowego bądź filologicznego objaśnienia, by przybrać postać narracji – nieauktorialnej, nieodróżniającej się stylistycznie ani gatunkowo od narracji głównej, pierwszoosobowej, w której najczęściej jest zapisywany.

Ustalenie wiążącej definicji komentarza, a nawet tylko charakterystyka jego najważniejszych form w samej tylko historii europejskiej kultury słownej (takich jak antyczne *hypomnemata*, *sygramma*, *hyporhesis*, średniowieczne *commentaria*, *commenta*, *enarrationes*, *expositiones*, *quaestiones*, *apparatus*, *postilla*), by nie wymieniać różnorodnych – i precyzyjnie rozgraniczanych – form komentarza w kulturze judejskiej (takich jak opowieść chasydzka, religijny i jurysdykcyjny komentarz do Talmudu, perusz, peszer, midrasz, reszumat, tosafot, barajta) – wszelkie ustalenia definiujące i ujednociające tak bogatą i kulturowo zróżnicowaną tradycję historyczną są skazane na fiasko. Komentarz to termin nieostry, stosowany wymiennie z wieloma innymi, kategorialnie nieczysty, gatunkowo i stylistycznie rozmyty. Filologowie – znawcy kultur dawnych powiadają, że tak było od najdawniejszych czasów, że więc przypisywana starożytnym umiejętność ostrzenia narzędzi jest naszym złudzeniem, i radzą nie kierować się pozostawionymi przez nich definicjami.

## Wyznania

Bez ambicji zatem odróżnienia komentarza filologicznego i rzeczowego, tekstologicznego i conceptualnego, powiem ogólnie: w każdej kulturze i na każdym etapie dziejowym komentarz był (i jest) formą przekładu tekstu uznanego za niejasny, niezrozumiały – czy to z powodu dystansu w czasie, czy z racji innojęzyczności (a raczej heteroglozji, tj. innojęzyczności niekoniecznie etnicznej), tekstu uznanego za z jakichś względów godny wyjaśniania, a zgoła objaśniania w kulturze docelowej wymagający, wreszcie – tekstu uznanego za względnie jasny w kulturze źródłowej, do której z reguły odwołuje się komentator, albo w trybie rzeczowym, albo **f i l o l o g i c z n y m**.

Czytanie filologiczne to czytanie powtórne. Filologię jako *Wiedererkennungis* projektował Gustaw Szpet. Widział ją jako naukę „wtórna”, jak byśmy dziś powiedzieli, która polega na „poznawaniu poznania”: „roz-poznawaniu” – jak pisał we właściwej sobie poetyckiej mowie filozoficznej, wyrażanej oryginalną, niestandardową ortografią – „lub od-radzaniu” cudzego poznania, re-kreacji doświadczenia Innego. Filolog zdany jest na taką lekturę sentymentalną, tym bowiem różni się od historyka, że ten wyczytuje w dokumentach to, co się wydarzyło”, filolog zaś czyta w nich „jak to, co zaszło, zostało zapisane” – mówił w maju 1924 roku wychowanek Szpeta, Kenigsberg. Z tego względu filologia jest fundamentem nauk o kulturze, z których każda pracuje na słowie. Czyta w ideach (także teoretyczno-literackich) zapis doświadczenia, nie inny niż zapis artystyczny.

Zdaje mi się, że „zwrot lingwistyczny”, „interpretacyjny” i „kulturowy” do tego właśnie zmierzały. Na innym tylko niż archiwalny, gotowym materiale.

## Abstract

**Danuta ULICKA**  
(University of Warsaw)

### The Archival Turn (As / See It)

*A reply to the questionnaire on the occasion of the 20th anniversary of Teksty Drugie: my personal views on literature, literary studies and other issues of consequence.*

On the need to restore the Moscow Circle to its due place in the history of modern literary studies, through reading of certain unpublished archival documents.